

oryg. u R. K. Wroś
pora - dyp
nie opła.

Jadwiga Kurkowska

Relację nagrała i przepisała Janina Wołczuk

Wykorzystane do tematu: Ziemia Lidzka...

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Jadwiga Kurkowska, ur. 27 lutego 1915 roku w Kierelach, gajna Lebioda, pow. Szczuczyn Nowogródzki. W chwili wybuchu wojny byłam w Warszawie, pracowałam bowiem w fabryce amunicji w Rembertowie. Pod Warszawę trafiłam dlatego, że na wsi na Nowogródczyźnie nie chciało mi się siedzieć. Bo cóż było na wsi? Nie było z czego się ubrać, nie było nic. Miałam dwie siostry i brata, rodziców już nie mieliśmy. Było gospodarstwo. Spod Szczuczyna wyjechałam z małżeństwem nauczycielskim, które przyjechało w nasze strony na wakacje /to było gdzieś między Lidą i Grodnem, małżeństwo to przyjechało na urlop/. Ci państwo potrzebowali dziewczyny do pomocy do domu - i ja się do nich zgłosiłam i z nimi wyjechałam.

Będąc w wieku szkolnym chodziłam do szkoły w Ogrodnikach. Kto chciał dalej się uczyć - do siódmej klasy, to musiał iść do Skrzybowiec. Ja takiej możliwości nie miałam. W szkole w Ogrodnikach uczyły się dzieci z okolicznych wsi - różne dzieci były: i Polacy i Białorusini. Litwinów w naszych okolicach nie było. Życie i w szkole i poza szkołą było wesołe. Nauczyciele też byli bardzo dobrzy. Pamiętam nauczyciela o nazwisku Turozyn, uczył wszystkiego. Był bardzo dobrym nauczycielem, tylko czasami miał białą gorączkę - ale jak mu ten atak przechodził, to był bardzo dobrym człowiekiem.

W naszej wsi i w Ogrodnikach ludzie mówili "po prostu". Byli ludzie wyznania i prawosławnego i katolickiego. Żyli zgodnie. Były mieszane małżeństwa. Nawet moja siostra wyszła za "ruskiego", tzn. za prawosławnego - Pińczuk się nazywał. Prawosławni nie różnili się nazwiskami od katolików. Była taka sama ludźmi o tym samym nazwisku jedni byli prawosławni, a drudzy katolicy.

W naszej wsi nie było żadnych placówek kulturalnych. Był tylko sklep, ale prowadzili go nie żydzi, a nasi, miejscowi właściciele. Wyjechałam ze wsi w wieku gdzieś 16-17 lat., tzn. na początku lat 30-ck. We wsi ludzie już wtedy mieli rowery - oczywiście tylko niektórzy. Rodzina Zdanowiczów miała już radio. To była rodzina muzykantów, każdy z nich na czymś grał, u nich się odbywały zabawy wiejskie, i właśnie Zdanowicze mieli radio. Zdanowicze mieli ładne mieszkanie, z podłogą, chłopaki trochę im płacili i dlatego u nich odbywały się zabawy. Orkiestra wiejska składała się ze skrzypiec, basów i bębna. Cymbałów ani harmonii nie było. Tańczyło się i polski i walce, różne tańce.

p. Kurkowska c.d.

Młodzież na zabawach śpiewała. U nas śpiewało się przeważnie po białorusku. Polskich piosenek właściwie nikt nie znał. Mój brat bardzo ładnie śpiewał, miał ładny głos. Brat już nie żyje, zmarł tam na Aresach. Do Polski nie przyjechał. Ożenił się z Rosjanką, ona przeszła na naszą wiarę /tzn. ożenił się z Białorusinką, prawosławną/.

Nasz kościół był w Skrzybowcach, o 4 km od naszej wsi. Ludzie chodzili regularnie do kościoła. Kazania w kościele były po polsku. Ludzie spowiadali się też po polsku, chociaż na co dzień mówili po białorusku. Nie wiem, jak tam starsi rozmawiali z księdzem, ale młodzież przecież chodziła do szkoły, to umiała mówić po polsku.

Gazet we wsi właściwie nie było. Mój brat Edmund był kaleką /zmarł już dawno-dawno/, ale był bardzo zdolny. Szewcował. Sam nie mógł się ani ubrać, ani poruszać, wszystko przy nim trzeba było zrobić. A że ojciec mój umiał czytać i pisać po rusku, więc go nauczył czytać i pisać po rusku; potem nauczył go po polsku, bo on do szkoły nie chodził. Brat czytał dużo książek, wypisywał z Warszawy gazety i czytał. Dlatego do nas zawsze przychodzili ludzie, wieczorem było pełne mieszkanie ludzi. Nie pamiętam, jaka to była gazeta, ale był w niej "Wesoły kącik". Jednego sąsiada przewalili nawet "Wesoły kącik", bo on zawsze prosił brata, żeby mu przeczytał wesoły kącik. Brat miał też dużo książek. Ludzie schodzili się do niego i prosili, żeby opowiedział bajkę - brat opowiadał wtedy przeczytane książki, a ludzie uważali to za bajki.

Do wsi nie przyjeżdżali żadni instruktorzy, ani nauczyciele nie prowadzili żadnej pracy kulturalnej. Wręcz odwrotnie, nauczyciele przychodzili do wsi do nas, kiedy my coś organizowaliśmy. My, młodzież szkolna, robiliśmy przedstawienia, choinkę - jasełka. Pamiętam takie przedstawienie, w którym cesarz na tronie zwracał się do swoich córek. Ja grałam najmłodszą córkę "serca twardego, i zabiję każdego". Przedstawienia wystawialiśmy w domu Zdanowiczów - tam oni zrobili nam nawet scenę - z zasłoną, ze wszystkim.

Inne przedstawienie: leży zmarła matka w grobie, dziecko płacze nad grobem i prosi anioła, żeby mu się przysniła matka nocą. Ja grałam sierotę i ludzie bili duże brawa dla mnie, bo ja akurat byłam w życiu sierotą - i wszystko pasowało do tej roli. Przedstawienie robiliśmy na podstawie jakiejś książki, albo wierszyków. Kostiumy robiliśmy z papieru. Przedstawienia i zabawy w niedziele były jedyną rozrywką.

p. Kurkowska c.d.

Ludzie ubierali się w ubrania z materiałów kupnych. We wsi była krawcowa, szyła wszystko, co kto chciał. Ludzie byli schludni, nie było jakichś oberwańców. Kiedy teraz myślę o tym, to dochodzę do wniosku, że ludzie żyli kulturalnie, może nie na takim poziomie jak teraz, ale to wszystko było z kulturą.

Domy we wsi były drewniane, k yte słomą. W wielu domach były podłogi. Zamożni we wsi byli Zdanowicze i Orłowscy. Orłowscy byli chłopami. Orłowski był w Ameryce, wrócił z Ameryki, pobudował się, kupił wszystkie maszyny gospodarcze /do młócenia i inne/. Ziemi u nas ludzie dużo nie mieli, gospodarstwa były po 3 po 4 ha, małe gospodarstwa. Rodziny niektóre były wielodzietne. W jednej było chyba 7 dzieci, to tam też była bieda - ubrać te dzieci, nakarmić. Na przednówku chleba zawsze brałowało.

Głodu nie było na wsi. Każdy chował przecież prosiaka, więc była i kiełbasa, i słonina do chleba. Na dzień gotowali w tym dużym piecu zupę, była ona cały dzień ciepła. Tak że nie było takiego uczucia niezaspokojonego głodu. Chleb piekli co tydzień. Jak komu chleba brakowało, to pożyczał u sąsiada, a potem oddawał.

Mieszkania oświetlało się lampami naftowymi. Zoczywem już nikt nie świecił. Lampy miały różne numery, biedniejsi mieli 3-ci numer lampy, a kto bogatszy - to 5-ty. Naftę kupowało się w Wasiliszkach, gdzie ludzie jeździli na targ. Targi były też w Szczuczynie. Wieczorami zbierano się prząść kądziel, śpiewano przy tym.

Zdecydowałam się jednak odejść z tej wsi, bo brat mój się ożenił, bratowa przyszła do naszego domu, a była taka, że trzeba by byłoby z nią codziennie się kłócić. Kłócić się nie chciałam, a bałam się, że ona będzie mi dokuczać - i zdecydowałam się odejść. Wyjechałam z tym nauczycielstwem jako pomoc do dziecka. Byłam z nimi w Nowym Mieście nad Pilicą. Potem od nich uciekłam. Płacili mi marne grosze. Potem mnie namówili znajomi i uciekłam do Warszawy.

Przedtem już jeździłam pociągiem. Byłam i w Lidzie, i w Wilnie - w Ostrej Bramie. Ludzie jeździli do Ostrej Bramy, były pielgrzymki ze wsi, z księdzem.

W Warszawie zaczęłam początkowo pracować w jadłodajni jako kelnerka - Na Nowym Świecie, potem na Mokotowskiej. Mieszkałam w wynajętym pokoju z koleżanką. Potem kolega załatwił mi pracę w Rembertowie i tam już pracowałam aż do wojny.

Kiedy zaczęło się bombardowanie Warszawy, to z Rembertowa do Warszawy nie wróciłam. Wszystko, co zapracowałam przez ten czas, zostało w Warszawie. Uciekłam stamtąd w letnich bucikach i w

p. Kurkowska c.d.

plaszczyku. Potem chciałam wrócić do Warszawy, ale nic z tego nie wyszło.

Z Warszawy z falą uciekinierów szliśmy w kierunku na Równe - wszyscy z Warszawy szli na Równe. Spotkanie z Rosjanami nie było straszne, tylko że oni odbierali niektóre rzeczy od ludzi, przede wszystkim zegarki, maszyny do szycia. Ja swój zegarek schowałam na ramieniu, prawie pod pachą.

Z Róengo pociągiem pojechaliśmy tam pod Lidę. Mieszkałam przez jakiś czas u brata. Rosjanie ogłosili, żeby uciekinierzy z Warszawy zarejestrowali się, że można będzie wracać do Warszawy. No to ja się zarejestrowałam. Mąż podjął pracę w tartaku, dostaliśmy pokoi. To było w Mozejkowie. Nic nie mogłam kupić, bo nie miałam za co. Trochę rzeczy dała mi siostra. Potem do Archangielska siostra przysłała mi też rzeczy, bo ja zostałam wywieziona prawie bez niczego.

Wywózki wcale się nie spodziewaliśmy. Wiedzieliśmy, że w lutym wywożono ludzi, ale nie sądziliśmy, że to dojdzie do nas, przecież nie zajmowaliśmy się wcale polityką, nie byliśmy bogaczami, mąż pracował. Tego dnia byliśmy nawet zaproszeni na wesele, a tu o 2-iej w nocy zjawiło się NKWD i kazało się zbierać. Mężowi nie pozwolili nawet wstać, robili rewizję. Wyjeżdżając nie miałam żadnego dobytku. Przywieźli nas do Skrzybowców. Nie znałam tam nikogo, bo nie mieszkałam tam, ale to byli wszystko Polacy.

Pociągiem przywieźli nas do Kotkasu, potem barkami dalej, potem do tajgi. Przyjechaliśmy latem. Mężczyznom pozwolono napiłkować desek i w barakach porobic przegródki dla poszczególnych rodzin. Z baraków paniętam Niedźwiedzka z dziećmi /chyba trójką/, Stachowska Stanisławę z córką Zuzanką. Stachowska też była z Warszawy, jechała gdzieś z mężem i dzieckiem do Białegostoku - mąż jej został aresztowany, a ona z córką przyjechała do rodziny na Kresy - i na drugi dzień została wywieziona.

Jeden Polak spośród naszych był bardzo podły, nie można było nic powiedzieć, bo wszystko donosił. Było tak: mąż mój z mężczyzną mi został zabrany na sianokosy. Zostałam sama z małym dzieckiem, bo urodziło mi się w międzyczasie dziecko /wywieźli mnie w zaawansowanej ciąży/. W naszym posiołku nie było złotka. Chciałam, żeby mnie przeniesiono do drugiego posiołka, żeby mogła oddać dziecko do złotka i pójść do pracy /bo nie miałam co jeść/. Komendant obiecywał, obiecywał - i nic z tego nie wychodziło. Kiedyś więc wychodząc z dzieckiem od komendanta Szumiłki powiedziałam w złości: "A żeby was szlag trafił, bandyci!" - i natknęłam się w tym czasie

p. Kurkowska c.d.

na tego naszego Polaka. Zaraz doniósł każde słowo. Nasz komendant musiał więc donieść dalej, głównemu komendantowi. Na drugi dzień przeniesiono mnie do drugiego posiołka. Dziecko oddałam do żłobka, sama poszłam do pracy. P^o kilku dniach wzyają mnie do komendanta. Poszłam, a komendant pyta, co ja mówiłam wtedy wychodząc do baraku. Powiedziałam, że skoro wiedzą, to po co pytają. Jeżeli chcą, to mogą mnie zastrzelić /bo komendant był uzbrojony/. Powiedział, że tym razem da temu spokój, ale następnym razem - nie podaruje mi.

W naszych posiołkach - Siewiernaja i Jużnaja byli tylko deportowani Polacy i komendanci Rosjanie oraz sklepikarz Rosjanin. W posiołkach były same baraki. Były też szafasy jeszcze z czasów carskich. Baraki były stare. W jednym baraku dużym mieszkało chyba z 10 rodzin. W drugim baraku mieszkały 2 rodziny - jedna bardzo wielodzietna, a w naszym baraku mieszkało 6 rodzin. I to wszystko, były trzy baraki i to był cały posiołek.

II strona

W posiołku była kuchnia. W niej gotowali trzy razy dziennie posiłki. Gotowali najczęściej jakieś zacierki, jakiś krupnik, czasami smażyli placki. Kuchnia była obsługiwana przez naszych ludzi. Pod względem żywności było lepiej, kiedy byliśmy pod NKWD. Bo kiedy nas oswobodzili spod NKWD i musieliśmy już sami o siebie się troszczyć, to było gorzej. Pieniądzy nie było, nic nie było. A początkowo dostawialiśmy jedzenie i pieniądze. W sklepiku można było kupić ciab, cukierki i kiełbasę.

Będąc w tej tajdze napisałam do rodziny. Dostałam z domu paczkę, w niej były spodnie watowe dla męża, dla mnie kurtka i trochę rzeczy dla dziecka. A w dużym baraku była rodzina o nazwisku Kimbort. Kimbortowa dostawała 7 paczek tygodniowo. Ona na Kresach miała jakiś majątek, znała księdza. Mąż Kimbortowej tam w tajdze potem aresztowano /on zbyt piskował/ i ona została sama z dzieckiem. Kimbortowa miała kozę. Ja później też kupiłam kozę - za męża jesionkę i swój pierścionek. Dziecko musiałam mieć mleko. Kozę tę miałam na spójkę z sąsiadką. Kupiliśmy ją w pobliskim posiołku u Rosjan, którzy już tam mieszkali od dawna i byli zagospodarowani.

Kiedy nasza koza przestała się doić, a ja potrzebowałam mleka dla małego dziecka, poszłam do Kimbortowej. Ale ona była bardzo niedobra, nie chciała mi sprzedać co drugi dzień szklanki mleka. Dopiero potem mój mąż w pracy w lesie porozmawiał z jej mężem i wtedy oni się zgodzili odsprzedać tę szklankę mleka. Kimbortowa miała całą skrzynię skłoniny. Potem, kiedy już można było wyjechać

(p. Kurkowska c.d.

z tajgi, nie mieliśmy środka transportu do Dźwiny. Każdy musiał swoje paczki zanosić sam, a to była odległość około 15 km. Wtedy pani Kimbortowa prosiła ludzi o zanieśenie jej paczek, za przysługę płaciła słoniną. Ale w tej słoninie były robaki wielkości palca. Powiedziałam mężowi, żeby p. Kimbortowa sama zjadła sobie tę słoninę. A Kimbortowa była taka, że kiedy smażyła placki na patelni /a ona jedyna ze wszystkich baraków miała patelnię/, to pod koniec smażenia nie smarowała już patelni, żeby ten, kto ją będzie pożyczał, nie skorzystał z jej resztek tłuszczu. Tacy czasami są ludzie! Dlaczego to już tak jest, że im człowiek bogatszy, tym bardziej skąpi. Kimbortowa miała wszystko z paczek, dostawała tych paczek dużo. Mąż p. Kimbortowej był aresztowany i do tajgi już nie wrócił. Nie wiem, być może poszedł do armii Andersa; nie znam jego dalszych losów.

Do naszego baraku przychodził sprzedawca z naszego poseszka - ten Rosjanin /on też na pewno był NKWDzista/. Mój mąż po rusku nie rozumiał, był poza tym bardzo zmęczony zawsze po pracy. Więc leżał i zawsze drzemał, w ogóle się nie odzywał. A ten sprzedawca gadał, wypytywał, jak to było w Polsce, co ludzie myślą. Chodził tak do nas przez tydzień, ale nic od nas nie wyciągnął i przestał przychodzić.

Polacy między sobą też nie byli otwarci. Nie kłócili się, ale nikt nie mówił za bardzo o tym, co myśli. Zdarzało się czasami, że jak człowiek coś powiedział, to zaraz ktoś donosił o tym do komendy. To Polacy bali się siebie nawzajem.

Pierwsze Boże Narodzenie na zsyłce: siostra przysłała mi opłatek, podzieliliśmy się - i to było wszystko. Nie zbieraliśmy się wspólnie, nie kolędowaliśmy, bo i nie wolno było się gromadzić.

Kiedy byliśmy później już na Syberii /w okolicach Barnauku/, to wtedy zabrali nam nasze dowody osobiste - i już się było obywatel radzieckim. Nikt nas o zgodę nie pytał. Wzywali każdego osobno. Ja długo nie chciałam iść. Ale mąż mi powiedział, żebym poszła, bo jeszcze mnie aresztują. Więc poszłam.

Kiedy jeszcze byliśmy w lesie, komendant zrobił zebranie, powiedział, że już my wychodzimy spod władzy NKWD i jesteśmy wolni. Wszyscy ludzie wyjechali stamtąd, mimo że nie dali nam żadnego transportu. Do Dźwiny musieliśmy się dostać własnym sumptem. W lesie spośród nas zmarły dwie osoby - to byli młodzi ludzie. Władze dały konia, żeby wywieźć do lasu zmarłych. Pochowani zostali w tajdze.

Kiedy wychodziliśmy z tajgi, to ten kto przyszedł nad Dźwinę

p. Kurkowska c.d.

pierwszy, czekał na pozostałych. Była lista Polaków i sprawdzaliśmy, czy wszyscy przyszli. Byli przecież ludzie z dziećmi. Nad rzeką była przystań. Załadowali nas na barkę - i do Kotłas. Z kotłas już każdy na własną rękę jechał gdzie indziej. Jechaliśmy na Syberię bez biletów. Kiedy przyjechaliśmy do Kotłas, to akurat szedł transport do armii Andersa. Ale trzeba było zapłacić za przejazd 30 rubli. Mąż mój chciał koniecznie do Andersa, ale nie mieliśmy pieniędzy. Postanowiliśmy zarobić pieniądze i zabrać się z jakimś następnym transportem.

Pojechaliśmy w okolice Barnauku, bo tam był kraj najbogatszy w chleb. Tam ziemia jest tak urodzajna, że rodzi wszystko bez nawożenia. Kiedy mąż mój poszedł potem do wojska, miałam działkę i z tej działki żyłam.

Po przyjeździe tam pod Barnauk zamieszkaliśmy w Owczynnikowie. Zamieszkaliśmy początkowo z rodziną Kramarzów /to było małżeństwo z córką/ w pomieszczeniu klubu, bo mieszkań nie było. Potem mąż znalazł mieszkanie u starych ludzi - małżeństwa rosyjskiego - i tam zamieszkaliśmy.

W Owczynnikowie było dużo Polaków. Dużo przyjechało już po wyjściu spod kurateli NKWD. Polacy pracowali w tartaku, chwyтали się różnych zajęć: a to stróżowania, a to innych.

W 1943 roku ^{mąż} ojciec poszedł do wojska - otrzymał wezwanie. Zostałam sama z dwójką dzieci, bo w międzyczasie urodziło nam się drugie dziecko. Dostawałam z zakładu, w którym mąż wcześniej pracował - "Zagotzierno"-trochę maki, dali mi działkę. I tak żyłam. Potem mąż wrócił z frontu, bo był ciężko ranny, pół roku leżał gdzieś w szpitalu. Wrócił jako inwalida do Owczynnikowa. Pracował jako mąż zaufania Związku Patriotów Polskich. W ZPP w Owczynnikowie sekretarzem był Żyd Halpern. Halpern pracował w biurze Zagotzierno. Miał możliwość dostania karmy dla prosiaka. Mieliśmy więc wspólnego prosiaka - ja go trzymałam. Potem zabiliśmy go wspólnie i Żydzi też jedli, nie zwracali uwagi na to, czy jedzenie jest koszerne. Halpern miał żonę dużo starszą od siebie, ale to byli fajni ludzie.

Polacy w Owczynnikowie już nie trzymali się wspólnie. Ludzie byli różni. Była m.in. rodzina Michalaków. Mieli troje dzieci, ale nie chciało im się pracować. Dzieci były bardzo zaniedbane, sam Michalak bardzo zaniedbany, brudny, niechlujny. Przyszedł kiedyś do mnie z takimi brudnymi nogami, że ja sądziłam, że on jest w kapciach. Szkoda mi było dzieci, bo chodziły często głodne, to czasami im pomagałam: moi gospodarze mieli krowę, ja tę

p. Kurkowska c.d.

krowę dołkam, to czasami schowałam dla tych dzieci butelkę mleka. A Michalak chodził gdzieś do kołchozu, to barana ukradł, to jeszcze coś. Kiedy mój mąż poszedł do wojska, to ja Michalakowi oddałam wszystkie koszule męża, bo on chodził goły, bez koszuli. Dobrze, że kiedy mąż wrócił, to miał wojskowe ubranie, bo nie miałby w czym chodzić. Michalakowie też mieli działkę, ale im się nie chciało na tej działce pracować. Nie mogli pojąć, dlaczego niektórym ludziom nie chciało się pracować. Dzieci Michalaków chodziły do Rosjan na żebry. Ludzie dawali im jaknątnę.

W Owczynnikowie byli Rosjanie. Żyliśmy z nimi zgodnie. Moi gospodarze - staruszkowie byli dla mnie jak ojciec z matką. Ja już wtedy umiałam po rosyjsku. /Dzieci moje mówiły po polsku/. Ci staruszkowie wszystkim ze mną się podzielili, ja im gotowałam, paliłam w piecu. Kiedy mój mąż wrócił z wojny do Owczynnikowa, to było nam ciasno. Wtedy dostaliśmy mieszkanie gdzie indziej, osobne, koło placu targowego.

Na placu targ był co niedziela. Były tam różne produkty. Wszystko sprzedawano na szklanki. Przychodzili wtedy na targ Polacy, którzy mieszkali dalej, w lesie, w kołchozach. Każdy miał do sprzedaży coś kradzionego - a to kasze, a to wełnę. Przywozili to wszystko do mnie. Mąż mój nie chciał o niczym wiedzieć, nie chciał w razie czego odpowiadać za to. A ja naszym ludzom to przechowywałam. Kiedyś przywieziono do mnie worek kaszy jaglanej - w nocy. Chowałam to wszystko do niedzieli - wtedy przyjeżdżali na targ i to sprzedawali. W nocy z soboty na niedzielę cała podłoga w moim mieszkaniu była zajęta przez śpiących - ludzie spali pokotem na podłodze. A ja wtedy nosiłam dużo wody, nagotowałam kawy, żeby było co pić - i tak wszystkich przenocowałam zawsze.

Mam teraz tu sąsiadów - Rychłowskich. Rychłowski pracował gdzieś w lesie. To oni mieli tam dwa worki wełny. Wełnę tę przywieźli do mnie, bo ja miałam samodzielne mieszkanie. Wzięłam tę wełnę na przechowanie, chociaż mąż był przeciwny. Powiedziałam wtedy, że może Rychłowscy dadzą nam tej wełny na skarpetki, bo jedziemy do Polski prawie gołi. Ale dali - akurat - figę. Wróciliśmy z Rychłowskimi razem do Polski. Ja się dla nich narażałam - a oni figę.

Ludzie wracając do Polski wieźli różne rzeczy. Wielkanoc 1946 roku świętowaliśmy jeszcze po radzieckiej stronie. Na drogę byliśmy zaopatrzeni dość dobrze w żywność przez Rosjan: było i mięso wędzone, i smalec; w pociągu smażyliśmy nawet pączki.

p. Kurkowska

Niektórzy ludzie wieźli co nieco, a niektórym pracować się nie chciało. Mężczyźni pozapuszczali brody, żeby wyglądać na starszyków, podali inne daty urodzenia /starsze/ i chodzili jak dziady, nie strzygli się i nie golili.

Z Owczynnikowa nie wszyscy wrócili. Niektórzy ludzie podali się za Białorusinów, za Ukraińców. To było wtedy, kiedy przywieziono nas do Kotłasu. Więc kiedy przyszły dokumenty na wyjazd do Polski, to wtedy Rosjanie zatrzymali tych niby-Białorusinów i niby-Ukraińców. To ci ludzie chcieli rzucić się pod pociąg. Przychodzili do mojego męża /bo mąż był w ZPP/ i błagali o ratunek. Ale mąż nie mógł im pomóc. I ja wcale ich nie żałuję, bo po co podawali się za Białorusinów. Trzeba było być Polakiem do końca. Nie było tam przypadków małżeństw polsko-rosyjskich. W ogóle nie było tam ślubów. A jeśli dzieci się rodziły, to były chrzczone z wody. Moje dzieci ochrzciła sąsiadka Niedzwiecka.

W Owczynnikowie były chyba dwa pogrzeby polskie.

Były dwa pogrzeby też w tajdze. A najwcześniej był wypadek śmiertelny z Żydówką. To było wtedy, kiedy nas z Kotłasu wieźli do tajgi. Żydówka ta nie chciała iść pieszo, uparła się, żeby jechać na górze na bagażach na traktorze. W pewnym momencie traktor o coś zahaczył i ona spadła - i zabiła się. Pamiętam, że jej syn strasznie rozpaczał.

8W